

Z PRZYMRUŻENIEM OKA cz. V

Co wyziera spod tej sutanny?! (cz. 2)

Egzorcyzmowanie mojej parafii.

Jeszcze wcześniej w tej „wsi od zabawy” rozegrała się inna walka, a było to w czasie nawiedzenia parafii przez Matkę Bożą Kodeńską. Jedną z reprezentacyjnych dekoracji miały stanowić chyba metrowej wysokości pasy niebieskiego materiału, umieszczone na dwóch listewkach i słupkach wbitych w ziemię, stanowiące tło pod wielkie litery z białej taśmy. Było ich aż 29, a ponieważ tylko ta wieś miała dostatecznie długą prostą szosę, i do tego na trasie wjazdu Obrazu z sąsiedniej parafii, to właśnie w niej znalazły się wszystkie litery. Stanowiły one część „egzorcyzmu Maryjnego”: „Potężna Niebios Królowo i Pani Aniołów, która otrzymałaś od Boga posłannictwo i władzę, by zetrzeć głowę szatana, prosimy Cię pokornie, ROZKAŻ HUFCOM ANIELSKIM, ABY ŚCIGAŁY SZATANÓW, stłumiły ich zuchwałość, a zwalczając ich wszędzie, strąciły do piekła. Amen”. Wzdłuż szosy znalazły się litery wyżej wyróżnionych słów, stanowiących tylko jego część.

Niebo było lekko zachmurzone, a wiatr nagle przybrał na sile i zaczął dziwnym sposobem odrywać litery od tła – ich części fruwały, niektóre stawały się przez to nieczytelne. Moje parafianki, uzbrojone w igły i nici, ruszyły na odsiecz, która nie okazała się jednak całkiem skuteczna i do dzisiaj nie wiem, czy jadąca z Obrazem kawalkada zdołała odczytać napis.

Biskup przyjechał do mojej plebanii dużo wcześniej, a ta, jak to na jesieni, była już wychłodzona. Zareagował na to: „Braciszku, jakoś tu nie za ciepło u ciebie...?” (był chudy, jak to sufragan, przy potężnym ordynariuszu wyglądał zawsze na jeszcze chudszego). Grzejnika elektrycznego nie miałem, ale przecież był piec centralnego ogrzewania – próbowałem w nim napalić, ale trafiła kosa na kamień! Dym szybko nappełnił całą plebanię, gdyż powietrze cofało się do domu. Gdy nie pomogła woda święcona, zaalarmowałem parafian, którzy weszli na dach i próbowali przepchać i oczyścić komin. Teraz już wiem, że na jesieni należy po raz pierwszy rozpalić ogień nie w piecu, a w kominie, żeby uniknąć tego problemu. Wtedy trzeba było ten błąd przyplącić nałykaniem się dymu, i to wraz z biednym biskupem... Osoby postronne szeptały między sobą o jakimś rogatym i to jemu przypisywały zrobienie nam psikusa. Nigdy nie wiadomo, czy w podobnych sytuacjach to nie on „pomaga”, ale jeśli tak, to zawsze złośliwie i z ponurą miną, gdyż ten nieszczęśnik na zawsze stracił poczucie humoru...

Na przywitanie Obrazu wszyscy wylegliśmy przed kościół. Gdy rozległy się krzyki: „Jadą!”, do akcji ruszył kościelny, ale jakoś niemrawo: dzwon raz zagrzmiał i zamilkł, więcej się nie odezwał... Okazało się, że sznur został kościelnemu w garści!

I tak na każdym kroku „coś się działo”, aż do samego końca, to znaczy aż do chwili, gdy z Obrazem zbliżaliśmy się do kościoła w sąsiedniej parafii. Tym ostatnim akcentem naszej przygody był niezapomniany widok, który obserwowałem z niepokojem przez okno samochodu-kaplicy. Przed nami jechał stary Żuk ze zdjętą plandeką, na którym stali na baczność moi strażacy – prawie wszyscy ze „wsi z egzorcyzmem”. W pewnej chwili ich prawe tylne koło zaczęło dymić – złapali kaptur (oni mogli nawet tego nie widzieć ani nie czuć) – i tak na pustej feldze dojechali do celu. I tak wszystkie detale: porywisty wiatr, gryzący dym, urwany sznur, zepsute koło, wreszcie (z tej właśnie wsi, tyle że później) delegacja z żądaniem usunięcia proboszcza – świadczą o tym, jak bardzo piekło dostaje po głowie od Niewiasty Obleczonej w Słońce i jak bardzo tym się denerwuje! Kropką nad i było nieporozumienie, które spowodowało, że większość domów w tej wsi nagle zamknęła się na zawsze dla mnie w czasie wizyty „kolędowej”, chociaż rok wcześniej były otwarte, ale za długo by było o tym opowiadać.

Jako spowiednik u sąsiadów.

Najpierw jako wikarego, a potem jako proboszcza w roli spowiednika nie przyjmowano mnie w sąsiednich parafiach zbyt chętnie, ale jakie było inne wyjście? Proboszczowie mówili: gdy on

przyjedzie (np. na drugorzędny odpust), to musisz mieć jakiegoś przygłuchego emeryta, żeby ludzie zdążyli się wypowiadać, bo ten długo trzyma ludzi przy konfesjonale! Zaś ludzie mówili między sobą: idź do tamtego, który nie dosłyszysz i o nic nie pyta, zada pokutę i odpuka – masz problem z głową. Ale jeżeli chcesz się wypowiadać tak naprawdę, idź do tego młodszego z długim nosem, a on cię wypowiada jak na śmierć! (opinia autentyczna, słowa także). Sumienie nie pozwalało mi „odpukać” grzesznika i pozostawić go w przekonaniu, że Bóg darował mu winy, jeśli on nie przebaczył jeszcze bliźniemu (i to z serca, a nie inaczej), albo gdy nie widziałem u niego mocnego postanowienia poprawy: tego, że już nigdy w życiu nie chce wrócić do wyznanego grzechu ciężkiego (tak – nie chce, a nie gwarantuje że nie wróci). A jak tu szybko do tego kogoś przekonać...? Jeżeli to mi się nie udawało, musiałem odmówić rozgrzeszenia, licząc się z tym, że będzie to w małym kościele zauważone: spowiadał, a nie poszedł do Komunii!

„Roztargniony” kołédnik.

Od początku swojej służby wypracowałem sobie specyficzny styl wizyty „kołédowej”: siadałem przy stole, rozmawiałem, podpisywałem dzieciom zeszyty, a na samym końcu modliliśmy się. Mogłem wtedy w tę modlitwę wpleść coś z problemów, usłyszanych w czasie rozmowy, a – co najważniejsze – zostawić po sobie atmosferę wyciszenia i modlitwy (zwykle najdłużej pamięta się akcent końcowy). Zdarzało się, że do stołu ktoś podszedł i po cichu, bardzo życzliwie, mnie upomniał, wyobrażając sobie, że za chwilę się zerwę i wyjdę: „Ksiądz zapomniał się pomodlić!”.

Jak ksiądz wyciszał... siebie.

Po latach moi uczniowie wspominali, jak reagowałem na ich szum i rozgardiasz w pewnych momentach katechezy: „Zamiast na nas krzyczeć, Ksiądz robił coś odwrotnego: stawał w milczeniu, a my za chwilę to zauważaliśmy i robiło się cicho...” Pamiętali też modlitwę na zakończenie: stojąc, kierowaliśmy do Boga nasze prośby, podobnie jak w kościele we Mszy, a one były podsumowaniem katechezy. Zdarzało się – do tego zachęcałem – żeby także oni coś od siebie Bogu powiedzieli. Rzadko to się zdarzało, gdyż takie „publiczne wystąpienie” na oczach i uszach całej klasy wymagało nie lada odwagi.

Ksiądz „modlący się” i „pijany”.

„Jak cię widzą, tak cię piszą” (czyli opisują)... Jako proboszcz miałem zwykle dwa miejsca, gdzie parafianie mogli mnie znaleźć: plebanię i kościół. Gdy widywali mnie w kościele o różnych porach, nieraz bardzo późno, z czasem utarło się określenie, które może śmieszyć, ale niekoniecznie (dlaczego nie – chyba komentarz zbyteczny): „ksiądz modlący się”. Chciałem ich nauczyć, że Jezus żyje i jest wśród nas obecny, i dlatego często otwierałem kościół. Pewnego razu podpatrzyłem, jak młody rolnik zatrzymał traktor i bez koszuli, tak najzwyczajniej w świecie, wszedł się pomodlić. Powiedziałem potem wszystkim, że sprawił mi tym wielką radość, a chyba i Jezusowi także. Nie wiem, czy nie oburzyłem tym jakiejś babuleńki...

Po dwóch tygodniach w śpiączce (a ratowano mnie w szpitalu z zatrucia, dla większości śmiertelnego), wyszedłem przygłuchy i chwiejąc się na nogach. Mózg już nie odzyskał pełnej kontroli nad narządami, więc mocno się nieraz zataczam, a do chodzenia z laską mnie nie ciągnie. Za bramę (na wieś) już nie wychodzę, odkąd nastraszyłem grupę pań: widząc mnie z daleka na chodniku, przeszły na drugą stronę, żeby nie spotkać się z „pijakiem”... Coś podobnego zdarzało się w mieście, gdy mój ofiarny kierowca prowadził mnie za ramię, a widok zataczającego się księdza w koloratce budził zdziwienie i pewno spotykał się z różnymi komentarzami! Muszę do końca iść i dojść swoją drogą, gdyż między „modlącym się” a „pijakiem” złotego środka nie znajduję. Zresztą ludziom podobać się nie muszę, prawda? Niech sobie piszą i mówią co chcą. Ale Bogu – zawsze.

Woda księdza Adama.

Zauważyłem, że księży, którzy przybywali na „moje” Msze pierwszosobotnie i mieli długie kolejki do spowiedzi, denerwowało nie tyle to, że po Mszy świętej poświęcałem przyniesioną wodę modlitwą ze starego Rytuału przedsoborowego, lecz określanie jej przez ludzi „wodą księdza Adama”. A więc co – pytali – to moje poświęcenie jest „gorsze”, skoro oni zjeżdżają się właśnie tutaj z butelkami? Nie brali tego pod uwagę, że „po owocach poznaje się każde drzewo” i że dawna modlitwa zawiera te elementy, których brakuje wszystkim nowym, a mianowicie egzorcyzm p-ko złym duchom oraz prośbę o uwolnienie od ich wpływu wszystkich i wszystkiego, a ponadto o uzdrowienie chorych. Do tego taka modlitwa wymaga od poświęcającego ją kapłana wiary w to, że Bóg tych łask udziela, bo same słowa bez tej wiary nie działają same ze siebie.

Po latach takiego poświęcania na miejscu przekonałem się, że odległość dla Boga udzielającego łaski nie ma żadnego znaczenia, więc mogę modlitwą obejmować cały świat – wodę we wszystkich naczyniach, w których Rodacy przygotowali ją do poświęcenia na polską godzinę 10-tą w I soboty. Tego jednak długo piekło nie mogło wytrzymać! Posypały się piękne świadectwa z różnych stron i krajów wtedy, gdy o nie poprosiłem nie dla siebie, lecz dla mojego biskupa, który w swoim dekrecie mnie oskarżającym nazwał taką praktykę poświęcaniem magicznym i mi jej zabronił (co nie przeszkodziło innym księżom w jej podtrzymywaniu). Tak, magicznym bez cudzysłowu, a więc tym samym ze mnie uczynił maga! A mag to czciciel szatana, modlący się nocami do niego, by udzielił mu mocy magicznej. Mimo mojej samoobrony i wspomnianych świadectw dekret p-ko „magowi w sutannie” nie został odwołany. Mogę tylko jedno tu napisać: bądź uwielbiony Boże w Twoim działaniu poprzez słabych ludzi, którym cała potęga piekła zaszkodzić nie może; także w ogromie Twoich łask, z których może korzystać każdy, kto ich potrzebuje!

Rogaty lubi się mścić.

Jako proboszcz w małej parafijce, pomagałem przy wizycie „kolędowej” w wielkiej, w której przez dwa lata byłem wikarym. Nie podobało się to w piekło. Gdy poświęcałem wodę modlitwą z egzorcyzmem w jednym z mieszkań, usłyszałem w myśli: „Zemszczę się na tobie za to”. Tak więc wracałem do domu bardzo ostrożnie pustą szosą przez las, gdy dopiero zaczęło się ściemniać. Mijał mnie ciągnik rolniczy, a gdy zrównaliśmy się, za moment powoli wyszedł na środek mojego pasa ruchu wielki czarny pies i stanął, a ja, nie mając innej możliwości, z całym pędem uderzyłem w niego, aż mój „maluch” podskoczył. Wgiął mi przedni pas – a więc robota dla błacharza – i uszkodził reflektor. Na blasze pozostała jego sierść i kał, ale psa nigdzie nie było!

Innym razem, zimą, na tej samej szosie, gdy wracałem na wieczorną Mszę świętą, nagle ktoś zablokował mi kierownicę i musiałem ukosem wjechać okrakiem na młodą brzozę nad rowem, która ugięła się, zaszprzężywała i wyrzuciła mój samochód do góry. Przekoziółkował się w taki sposób, że upadł na bok, a ja w tej pozycji wyłaziłem z niego. Z nosa kapała mi krew na obrazki Matki Bożej Bolesnej, które wypadły na podłogę. Postawiłem samochód na kołach i pojechałem. Po kilku kilometrach zauważyłem, że jadę w odwrotnym kierunku!

Podobna sytuacja miała miejsce tydzień później na innej (pustej o zmroku) szosie, która łukiem szła w prawo, a ja nie miałem władzy nad kierownicą – musiałem jechać prosto, a więc do głębokiego rowu. Właściwie było to zbocze nasypu szosy, porośnięte krzakami. Samochód wklinował się między zbocze a krzaki, otworzyła się maska, a ja bezradnie patrzyłem, jak kwas siarkowy wycieka z akumulatora do wnętrza. Na szczęście nadjechał autobus i ludzie wynieśli mój samochodzik na szosę, na Mszę zdążyłem.

„Piekielnych” zdarzeń było mnóstwo w moim życiu, zwłaszcza przy pracy z komputerami i drukarkami, ale to zbyt szeroki temat. Do jednego się przyznam: w takich sytuacjach – wbrew oczekiwaniom piekła – to ja czułem się zwycięzcą i wielbiłem całym sobą Boga. Dziękowałem Mu. za to, że rogaty musiał mocno dostać po głowie, skoro w taki a nie w inny sposób reaguje!